

A woman in a green dress is holding a large, vibrant pink flower with a dark center. The background is a solid green color.

Sekretny

język
kwiatów

JESTEM NIEUFNA JAK LAWENDA,
SAMOTNA JAK BIAŁA RÓŻA. BOJĘ SIĘ.
DLATEGO POZWALAM, BY MOIM GŁOSEM BYŁY KWIATY.

Vanessa
Diffenbaugh

Świat Książki

Sekretny
język
kwiatów

Vanessa
Difflenbaugh

Sekretny
język
kwiatów

Z angielskiego przełożyła
Małgorzata Miłoś


Świat Książki

Tytuł oryginału
THE LANGUAGE OF FLOWERS

Redaktor prowadzący
Monika Koch

Redakcja
Maria Wirchanowska

Redakcja techniczna
Agnieszka Gąsior

Korekta
Maciej Korbasiński
Jadwiga Przeczek

Copyright © 2011 by Vanessa Difenbaugh
Copyright © for the Polish translation by Świat Książki Sp. z o.o.,
Warszawa 2011

Copyright © for the e-book edition by Świat Książki Sp. z o.o., Warszawa 2011

Świat Książki
Warszawa 2011

Świat Książki
ul. Rosoła 10
02-786 Warszawa

Niniejszy produkt objęty jest ochroną prawa autorskiego. Uzyskany dostęp upoważnia wyłącznie do prywatnego użytku osobę, która wykupiła prawo dostępu.

Wydawca informuje, że wszelkie udostępnianie osobom trzecim, nieokreślonym adresatom lub w jakikolwiek inny sposób upowszechnianie, upublicznianie, kopiowanie oraz przetwarzanie w technikach cyfrowych lub podobnych – jest nielegalne i podlega właściwym sankcjom.

ISBN 978-83-247-2661-5
Nr 45102

Spis treści

I *Oset*

II *Serce nienawykłe do miłości*

III *Mech*

IV *Nowe początki*

Dla PK

*Mech jest symbolem matczynej miłości,
bo raduje serca, gdy ogarnie nas zima i przeciwności
i gdy opuszczą nas letni przyjaciele.*

HENRIETTA DUMONT, *The Floral Offering*

CZĘŚĆ I

Oset

1.



d ośmiu lat śniłam o ogniu. Drzewa zapalały się, gdy obok nich przechodziłam, płonął ocean. Słodki dym osiadał na moich włosach, a rano czułam jego zapach na poduszce. Mimo wszystko obudziłam się w momencie, gdy zaczął płonąć materac. Ostra chemiczna woń kontrastowała z mglistą słodyczą dymu z moich snów; te zapachy różniły się jak dwa gatunki jaśminu: indyjski i kalifornijski, przywiązanie i rozłąka. Nie sposób ich pomylić.

Stojąc pośrodku pokoju, zlokalizowałam źródło ognia. Z końca łóżka wystawał równy rząd zapalek. Zapalały się jedna od drugiej, jak gorejące słupki pomiędzy metalowymi rurkami. Z przerażeniem patrzyłam, jak zajmowały się ogniem, i w tej krótkiej, paraliżującej chwili miałam znowu dziesięć lat i odczuwałam desperację i nadzieję, jakich nie czułam nigdy wcześniej.

Ale goły materac nie palił się jak osty w październiku. Zaczął się tlić i zgasł. Były moje osiemnaste urodziny.

W salonie na zapadniętej sofie siedziały dziewczyny. Spojrzały na mnie, a ich wzrok zatrzymał się na moich bosych, niepoparzonych stopach. Jedna z dziewczyn odetchnęła z ulgą, druga była rozczarowana. Gdybym

miała tu zostać jeszcze tydzień, zapamiętałabym wyraz twarzy każdej z nich. Odpłaciłabym im gwoździami w podeszwach albo kamyczkami w chili. Kiedyś przyłożyłam do ramienia współlokatorki rozżarzony metalowy wieszak za mniejsze przewinienie. Jednak za godzinę już mnie tu nie będzie. I one dobrze o tym wiedziały.

Wstała dziewczyna siedząca pośrodku sofy. Wyglądała dziecinnie – na piętnaście, może szesnaście lat – i była wyjątkowo ładna: zgrabna sylwetka, czysta skóra, nowe ubrania. Nie rozpoznałam jej od razu, ale gdy przechodziła przez pokój, dostrzegłam w jej ruchach coś znajomego; szła ze zgiętymi, przygotowanymi do walki rękami. Dopiero co się wprowadziła, ale uświadomiłam sobie, że już kiedyś z nią mieszkałam, w okresie po Elizabeth, gdy miałam w sobie najwięcej złości i agresji.

Stała tuż przede mną i wysunęła do przodu brodę.

– Ogień był od nas wszystkich. Wszystkiego najlepszego z okazji urodzin.

Siedzące na sofie dziewczyny zaczęły się wiercić. Jedna naciągnęła kaptur, druga szczelnie owinęła się kocem. Poranne słońce oświetlało ich pospuszczane oczy i nagle wydały się bardzo młode, złapane w potrzask. Nie ma innej drogi wyjścia z domu dziecka jak uciec, osiągnąć pełnoletność albo trafić do psychiatryka. Nastolatki nie mają szans na adopcję i rzadko jeżdżą do domów. Te dziewczyny doskonale znały swoją przyszłość. W ich oczach krył się strach: przede mną, przed innymi współlokatorkami, przed życiem. Poczulałam niespodziewany przypływ litości. Ja odchodziłam, a one musiały zostać.

Spróbowałam przedostać się do drzwi, ale dziewczyna zagroziła mi drogę.

– Odejdź – powiedziałam.

Z kuchni wyrzała młoda kobieta, która przychodziła na nocną zmianę. Zapewne nie miała jeszcze dwudziestu lat i bała się mnie bardziej niż jakakolwiek dziewczyna w pokoju.

– Proszę – powiedziała błagalnym głosem. – To jej ostatnie chwile. Pozwól jej odejść.

Czekałam, a dziewczyna zacisnęła dłonie w pięści. Po chwili pokręciła głową i odwróciła się. Przeszłam obok niej.

Do przyjazdu Meredith została godzina. Wyszłam na zewnątrz w mglisty poranek i poczułam pod stopami zimny cement ganku. Zatrzymałam się, żeby pomyśleć. Planowałam znaleźć dla nich coś kąśliwego i wyrażającego nienawiść, ale o dziwo poczułam nagle chęć przebaczenia. Może dlatego, że stałam się pełnoletnia, że wreszcie nadszedł koniec, potrafiłam zdobyć się na pobłażliwość dla ich przewinienia. Przed odjazdem pragnęłam powiedzieć coś, żeby z ich oczu zniknął strach.

Poszłam w dół Fell i skręciłam w Market Street. Doszłam do ruchliwego skrzyżowania i zwolniłam, niepewna, w którą pójść stronę. Kiedy indziej poszłabym do Duboce Park lub do Page and Buchanan, albo wykradałabym zioła na lokalnym rynku. Od dziesięciu lat każdą wolną chwilę spędzałam, ucząc się znaczeń i naukowych opisów kwiatów, ale nie miałam okazji, żeby wykorzystać swoją wiedzę. Stale używałam tych samych kwiatów: bukiet nagietków – *żał*, wiaderko ostów* – *mi-zantropia*, szczypta suszonej bazylii – *nienawiść*. Bardzo rzadko dawałam coś innego: garść czerwonych goździków.

* Chodzi tu o ostrożeń, potocznie nazywany ostem (przypr. red.).

ków dla sędziny, gdy zorientowałam się, że nie wrócę więcej do winnicy, piwonie dla Meredith, jak tylko mogłam je znaleźć. Szukałam kwiaciarni na Market Street i przeszukiwałam mój mentalny słownik.

Po chwili doszłam do sklepu z alkoholem, przed którym stały w wiaderkach opakowane bukiety. Zatrzymałam się. Głównie mieszane bukiety, w których niesione przez kwiaty wiadomości przeczyły sobie wzajemnie. Nie było zbyt dużego wyboru wiązanek z jednego rodzaju kwiatów: standardowe róże – czerwone i różowe, bukietik nakrapianych goździków oraz wiązanka fioletowych dali. *Godność*. Od razu wiedziałam, że to wiadomość, którą chcę im przekazać. Odwróciłam się tyłem do wiszącego nad drzwiami lustra, schowałam bukiet pod płaszcz i pobiegłam.

Gdy wróciłam do domu, nie mogłam złapać tchu. Salon był pusty, więc weszłam do środka rozpakować dalie. Kwiaty były idealnie rozwinięte, ze ściśniętych pączków wyłaniały się zakończone na biało fioletowe płatki. Przegryzłam gumkę i rozplątałam łodygi. Dziewczyny nigdy nie rozumieją znaczenia dali (zresztą znaczenie odnosi się do ich sytuacji w nieco zawoalowany sposób), ale mimo wszystko czułam dziwną lekkość, gdy przemierzałam hol i wkładałam kwiat pod każde zamknięte drzwi sypialni.

Pozostałe kwiaty podarowałam młodej kobiecie, która pracowała na nocną zmianę. Stała przy oknie kuchennym, czekając na zmienniczkę.

Meredith przyjechała o dziesiątej, tak jak obiecała. Czekałam na nią na ganku, z kartonowym pudłem na kolanach. Przez osiemnaście lat nazywałam głównie książki: *Słownik kwiatów* i *Przewodnik Petersona po dzikich kwiatkach*

stanów Pacyfiku, obydwie przysłane przez Elizabeth miesiąc po tym, jak opuściłam jej dom. Podręczniki botaniki z różnych bibliotek i cienki tomik poezji wiktoriańskiej, ukradziony z małej księgarni. Na książkach leżały moje ubrania, niektóre znalezione, inne ukradzione, nie wszystkie na mnie dobre. Meredith zabierała mnie do Gathering House, domu przejściowego na Outer Sunset. Zapisała mnie na listę oczekujących, kiedy skończyłam dziesięć lat.

– Wszystkiego najlepszego – powiedziała, gdy wstawiałam karton na tylne siedzenie samochodu.

Nie odpowiedziałam. Obie wiedziałyśmy, że to wcale nie muszą być moje urodziny. Pierwszy raport sądowy określał mój wiek na mniej więcej trzy tygodnie, a dokładna data i miejsce moich urodzin były nieznane, podobnie jak moi biologiczni rodzice. Odgórnie przydzielono mi datę pierwszego sierpnia.

Usiadłam na przednim siedzeniu, obok Meredith, zamknęłam drzwi i czekałam, aż ruszy. Siedziała i stukwała w kierownicę sztucznymi paznokciami. Zapięłam pasy, ale samochód nadal stał w miejscu. Spojrzałam na Meredith. Cały czas byłam w pidżamie; podciągnęłam pod brodę kolana i przykryłam je kurtką. Wpatrywałam się w sufit jej samochodu i czekałam, aż ona coś powie.

– Gotowa? – zapytała.

Wzruszyłam ramionami.

– Teraz wszystko zależy od ciebie – powiedziała. – To początek twojego życia i musisz zacząć brać za siebie odpowiedzialność.

Meredith Combs, pracownica socjalna, która umieściła mnie w tyłu nieodpowiednich rodzinach zastępczych, chciała rozmawiać ze mną o odpowiedzialności.

2.



Przyciskając do szyby czoło, patrzyłam na migające za oknem zamglone wzgórza. Samochód Meredith śmierdzał papierosami, a na pasach widniały ślady pleśni, która rozwinęła się na pozostałościach czegoś, co jadło tu jakieś inne dziecko. Miałam dziewięć lat. Siedziałam na tylnym siedzeniu rozczochrana, w nocnej koszuli. Nie tego oczekiwała Meredith. Specjalnie na tę okazję kupiła mi zwiewną, bladoniebieską sukienkę ozdobioną haftem i koronką, ale nie chciałam jej włożyć.

Meredith wpatrywała się w drogę przed sobą. Nie widziała, jak odpięłam pasy, opuściłam okno i wychyliłam się tak, że moje łopatki dotknęły górnej ramy drzwi. Spojrzała na mnie, ale nie powiedziała ani słowa. Siedziała z zaciśniętymi ustami i nie mogłam dojrzeć wyrazu jej twarzy za ciemnymi okularami.

Jechałam w ten sposób i z każdym kilometrem wychylałam się coraz bardziej, aż nagle Meredith nacisnęła guzik i szyba podniosła się o kilka centymetrów. Szkło naciskało na moją wyciągniętą szyję. Szarpnęłam się do środka i odbiwszy się od siedzenia, upadłam na podłogę. Meredith podnosiła szybę, dopóki szumu wpadającego do samochodu wiatru nie zastąpiła cisza. Ułożyłam się